

EWA DUDKIEWICZ

CIEŃ I KRAJ



Lato ubiegłego roku było wściekle gorące, niczym otwarta paszcza piekieł ziało żywym ogniem. W tym powietrzu zastygłym od żaru, betonowe kolumny czekały na nowe wrażenia. Znużone „nicnierobieniem” bawiły się w podglądanie, jak ludzki sznur w mrówczym marszu przemierza każdego dnia przestrzeń pomiędzy nimi. Czekały na przyjście nocy, gdy szumy stłumionych oddechów nadawały nowy, złowieszczy rytm. Kolumny wtedy nie obserwowały. Ich zwaliste konstrukcje nabierały gibkości woltyżerki, która bezwstydnie spacerując po zawieszanej na wysokości linie, budzi grozę i przerażenie.



Pan M. stał w milczeniu przed szklanymi, obrotowymi drzwiami do galerii handlowej. To śmieszne, ale bał się przekroczyć granicę pomiędzy tym, co było, a tym, co go czeka. Ona na pewno już tam jest. Szczęśliwa, w swojej ulubionej jasnozielonej sukience w delikatne wzorki liści bluszczu. Z radosnym och i ach przemierza kilometry wydając jego pieniądze na kolejne buty, torebki i perfumy, a potem się zmęczy i najdzie ją ochota na kawę. Wybierze kawiarenkę na tarasie ostatniego piętra i zalotnie spoglądając na kelnera zamówi espresso i lampkę wytrawnego Chardonnay. Po chwili, niby przypadkiem dosiędzie się do niej ten pieprzony instruktor jogi, u którego od trzech tygodni odbiera dodatkowe lekcje. - wchodzi pan czy stoi? Tłuste babsko z nie mniej pulchnym dzieciakiem przy nodze sugestywnie wskazywało palcem obrotowe drzwi. - przepraszam - skinął lekko głową na znak wyuczonej grzeczności - pani przodem...

Kiedy kobieta ruszyła do wejścia, na ułamek sekundy skierował spojrzenie na hartowane szkło. Nieźle. Sztuczne wąsy w komplecie z bródką w kształcie odwróconego trójkąta, peruka imitująca siwe włosy i okulary korekcyjne z przyciemnianymi szklami. Wygląda zwyczajnie, jak każdy przyzwoity morderca. Tak, za chwilę popełni najcięższy z grzechów. Najgorszy z występków i już nie pójdzie do nieba. Próbował się uśmiechnąć, dodać sobie otuchy, ale w odpowiedzi jego ciało tylko zadrżało. Każde z miliarda połączeń nerwowych lada chwila mogło pęknąć i rozpaść się tak, jak jego życie. Szczęśliwe, ułożone, pozorne...

Pani M.

Nie chciała go porzucać, ale ta gra stawała się odrobinę niebezpieczna. Infantylnie zauroczył się jej delikatnymi dłońmi, które mógł całować i pieścić bez końca - tak przynajmniej wciąż powtarzał. Mówił jeszcze wiele innych głupstw, które by jej schlebiały, gdyby nie zazdrosny mąż i widmo rozwodu, kiedy dowie się o ich romansie. Zresztą, kolejnym z wielu grzechów, tajemnic i błędów kapryśnej żony niewiernej.

- co podać? Kelner wyrósł obok niej, niczym posąg z zaświatów. Delikatnie odchylił się, próbując unikać wzrokowego spotkania z lubieżnym rowkiem pomiędzy ściśniętymi piersiami klientki.

- espresso, proszę...

- czy życzy sobie pani jeszcze czegoś?

Powoli podniosła głowę i przyglądając się jego szorstkiemu, kanciasto ociosanemu podbródkowi, odpowiedziała powoli sylabizując słowa - jestem spragniona...

- tak, rozumiem. Kelner nieznacznie zmniejszył odległość i pochyliwszy się w stronę falującego w rytm oddechu biustu, poczuł potrzebę oblizania ust, które stając się nagle suche domagały się natychmiastowego nawilżenia.

- dla mnie cappuccino. Cappuccino, proszę!

Mokry język kelnera zniknął, a jego właściciel, który ponownie przyjął profesjonalną postawę skierował spojrzenie w prawą stronę, skąd dobiegał ostry, męski głos. Towarzysz ponętnej damulki, trzydziestoletni, umięśniony goryl, który przed chwilą dosiadł się do stolika spoglądał spode łba i chyba nie chciał nic więcej zamawiać.

- oczywiście, zaraz państwu podam kawy.

Po chwili zostali sami trwając w milczeniu - ona i jej prywatny instruktor jogi z jędrnymi pośladkami, które uwielbiała drapać paznokciami, ugniatać i nie wypuszczać do ostatniego oddechu. Zmrużyła oczy i wzięła delikatny oddech. Musi się opanować. Zaraz mu powie żegnaj, więc powinna trwać niewzruszona i chłodna, jak poranna mgła.

- Jesteś dzisiaj nieobecna. Czy coś się wydarzyło?

Wyciągnął prawą rękę, by dotknąć jej dłoni zaciśniętych i splecionych w neurotycznym uścisku wokół małego, szklanego wazonika z czerwoną różą,

jedyną ozdobą na stoliku. Nie zdążył. Cofnęła ręce w tym samym momencie, gdy kelner stawiał białe filiżanki z aromatycznymi napojami.

- posłuchaj, wypijemy kawę, ja powiem ci coś ważnego, a ty nie będziesz mi przerywać, nie będziesz zadawać pytań, po prostu będziesz milczeć. Co więcej, pozwolisz mi wstać i wrócić do domu. Rozumiesz?

Ostatnie słowo zabrzmiało, jak żebracza prośba, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie więcej zimna. Czuła ciśnienie krwi szybko pompowanej przez oszalałe z emocji serce. Próbowała wyrównać oddech, ale tylko połykała haustami powietrze, co pogarszało jeszcze całą sytuację.

- chcesz mnie zostawić? Jego pytanie zabrzmiało, o dziwo, naturalnie i spokojnie.

- boję się, że mój mąż coś podejrzewa. Nie mogę ryzykować - odpowiedziała cicho, po czym agresywniej dodała - miałeś się nie odzywać!

Chciała sięgnąć po espresso, ale poczuła, że powinna wstać i odejść. Każda sekunda dłużej w jego obecności osłabiała jej determinację. Teraz albo nigdy. Poderwała się z krzesła i chociaż poczuła lekki zawrót głowy, jednak zaciskając palce na skórzanym pasku torebki wykonała krok w stronę wyjścia.

Nie wołał, nie próbował jej zatrzymać. Siedział w milczeniu przy stoliku pijąc chłodnawe i przesłodzone cappuccino i wpatrując się w nietkniętą filiżankę espresso. Pogardziła nią tak samo jak nim. Dziwka! Wykorzystała go i zostawiła bez jednego słowa przepraszam. Dziwka! Jeszcze musi za nią płacić. Bogata szmata a zamówiła na jego koszt i sobie poszła. Tak zwyczajnie, jakby wychodziła ze sklepu nic nie kupując, bo towar był wadliwy, zepsuty, beznadziejny...

- dziwka - wyszeptał zaciskając pod stołem pięści w bezsilnej złości.

Pan M.

Obserwował ich z bezpiecznej odległości. Czytał z ruchów warg, delektował się widocznym napięciem i czekał. Był pewien, że ten biedak właśnie przeżywa nagłe porzucenie, wręcz słyszał niedbale rzucone słowa żony „byłeś słodki i gorący, ale już cię nie chcę. Jesteś passé. Spieprzaj głupi byczku, poszukam sobie nowego, ognistego rumaka”. Naiwniak wierzył, że ją rozgryzł, zdominował i otumaniał, a to ona owinęła go sobie wokół palca. Kolejna zabawka w kolekcji kapryśnej kobiety, w której Pan M. zakochał się dawno temu za piękne, niewinne oczy, i tej samej, która systematycznie i bez emocji uczyła go pokory, smaku słonych łez i samotności. I nienawiści, uczucia arktycznego chłodu w upalny dzień. Za ostatnie był jej wdzięczny, za wszystko inne, pragnął ją zniszczyć. Porzucił rozmyślania, gdy dostrzegł, że opuszczony instruktor jogi wstał od stolika i rozmawiając przez telefon skierował się ku wyjściu. Pan M. odczekał chwilę i ruszył jego śladem.

Sklepowe witryny, łowcy okazji, hostessy i stoiska pośrodku korytarzy ułatwiały wtopienie się w wielobarwne tło, jednak wszechobecne kamery rejestrowały ruch każdego klienta, zarówno tego, który przyszedł kupować, jak i kraść czy zabijać. Pan M. klucząc za swoją ofiarą coraz bardziej uświadamiał sobie, że jego pierwszy, oparty na wściekłości i zawiści plan pozbycia się kochanka żony jest nierealny. Po pierwsze, zdradził się poszukując strychniny, i nikt nie uwierzy, że chciał samodzielnie wytępić szczury. Wreszcie, gdy zdobył truciznę, spacer po centrum handlowym pośród setek kamer to tylko niepotrzebne ryzyko potencjalnego zdemaskowania. Przecież, jeśli nawet znajdzie się sam na sam z tym pieprzonym instruktorem w męskiej toalecie i wbije mu w szyję strzykawkę, to ten w panice może odskoczyć, uderzyć go, igła się złamie, a do tego wejdzie porządkowy z zamiarem przetarcia podłogi i wszystko szlag trafi! To nie ma sensu... po co narażać się, kiedy żona już zostawiła joggina i do niego nie wróci? Powinien jeszcze raz to wszystko przemyśleć, przeanalizować każde za i przeciw choć wpierw, potrzebował powietrza, musiał wyjść na zewnątrz nim zemdleje i odnajdą go z podwyższonym ciśnieniem i trucizną w kieszeniach spodni.

Na dworze nadal panował upał, który nie pozwalał swobodnie oddychać i zamieniał ubrania w mokre od potu, śmierdzące płachty materiału. Pan M. stał bezradny i samotny pośród tłumów omijających go w równym marszu donikąd. Co teraz? Ma wrócić do domu, do niej, do kłamstw i gry pozorów? A może inaczej wykorzystać zawartość strzykawki? Zamknął oczy i zobaczył

siebie wchodzącego do przestronnej łazienki wyłożonej białym, włoskim marmurem Carrara (tak, tym, który kosztował go bajeczną sumę ubiegłej wiosny). Na wprost dwumetrowa ściana z wystającym grubym blatem, na którym dizajner kazał umieścić z prawej strony jajowatą umywalkę. Pan M. chciał dwie mniejsze, ale jego zdanie nie liczyło się w dopieszczaniu koncepcji. Ważne było to, co miał do powiedzenia pan stylistą, który na pewno dopieszczał również Panią M. Co za parszywy, bezczelny gnojek!

- przepraszam, ma pan ognia?

Śmierzący oddech pijaczka stojącego w odległości nie większej niż dwadzieścia centymetrów podziął, niczym wojskowy alarm przeciwlotniczy. Myśli pierzchły i zakopały się głęboko pod powierzchnię jaźni, a oczy Pana M. otworzyły się szeroko, zaś usta przybrały kształt rozciągniętego, spłaszczonego banana, i wydobyło się z nich syczące

- ssspierdalajjj...

- aleś pan nerwowy... idź się pan lecz, jak pana boli.

Lump zaskoczony nagłym słownym atakiem, zrobił krok do tyłu, po czym mamrocząc coś do siebie, odwrócił się i ruszył przed siebie wyszukując wzrokiem innych chętnych poczęstować go ogniem, a przy okazji i papierosem. Podreptał kilkanaście metrów dalej i z bezpiecznej odległości obejrzał się przez ramię zaciekawiony, czy dziwny, siwowłosy wariat jeszcze warczy i syczy. Zawiedziony, zobaczył tylko codzienność, drzwi wejściowe do galerii handlowej, a przed nimi wycieczkę przedszkolaków maszerujących nierównym krokiem pomiędzy dwoma tłustymi opiekunkami, przebiegającego biznesmena albo prawnika (trudno ich odróżnić), turystkę z niezbyt dużym plecakiem marki Nike i smartfonem w lewej ręce. Wariat zniknął, rozpląnął się w upalnym żarze, jakby był diabłem, którego czas na ziemi dobiegł końca i musiał zstąpić do czeluści piekieł.

Knajpa w bocznej uliczce na tyłach dawnego budynku dworca kolejowego, ulubione miejsce amatorów mocnego trunku, a nierzadko i wrażeń z pogranicza przyzwoitości okazała się właściwym miejscem do płaczu. Siedząc na zwykłym, metalowym krześle przy ogrodowej, drewnianej ławie dobrze znanej miłośnikom piwa, Pan M. popijał już czwartą szklanę taniego, ale mocnego trunku. Zmieszał wódkę z porterem i przyglądał się uciekającym bąbelkom gazu.

Trzech oprychów w towarzystwie chudej kobiety w bluzeczce na ramionach i krótkiej spódniczce właściwie niczego nie zakrywającej, przyglądało mu się z wyraźnym zaciekawieniem. Rozsiedli się kilkanaście metrów dalej,

kobieta wiodła prym zachowując się bardziej głośno i wulgarnie, niż jej kompani. Jeszcze głębiej, po drugiej stronie placu, ukryci pod dużymi parasolami z nazwami browarów usadowili się inni samotnicy, pijacy i typy, których lepiej nie spotkać po zmroku w ciemnym przesmyku ulic.

Markowe obuwie, zapach wody kolońskiej i wypielęgnowane dłonie zdradzały status materialny Pana M. czyniąc go potencjalną owcą pośród stada wilków. Czuł to i on, jednak odarty ze złudzeń, bo nawet zwykłego drania nie potrafił zabić, zgubił instynkt samozachowawczy i zaczynał popadać w dziwne odrętwienie. Strzykawka paliła go w kieszeni, chciał się jej pozbyć albo użyć na tej zdradliwej lisicy, która znalazła norę w jego pięknym domu, ale jedyne co potrafił, to dolać kieliszek wódki do szklanki z piwem i przechylić, wlewając w siebie całą zawartość. Alkohol zaczynał powoli działać, stępiał zmysły, zwalniał ruchy a nawet, pozwolił na lekki uśmiech.

Pan M. podniósł się powoli, dla bezpieczeństwa opierając dłońmi o ławę, czknął i rozpromienił się jeszcze bardziej.

- a pieprzyć to wszystko!

Powiedział lekko bełkotliwie spoglądając na chudą damę, która w odpowiedzi wysłała mu całusa, a jej goryle sztucznie wyszczerzyli zęby w półuśmiechu nie spuszczać go z pola widzenia.

- wychodzisz już kochanie?

Kobieta zapytała przymilnie. Przytaknął i wyprostował się, jednak nie ruszał z miejsca.

- może cię odprowadzę?

Słodki głos dźwięczał pośród pijackiego bełkotu pozostałej klienteli. Jeden z goryli również wstał robiąc przejście kobiecie, która powoli podnosiła się z miejsca.

- chcesz iść ze mną kochanie, prawda?

Ostentacyjnie położyła prawą rękę na lewym ramieniu i pchnęła palcem wskazującym ramiączko bluzki, dotychczas luźno leżące na kościstym obojczyku. Posłuszny strzępek materiału opadł odsłaniając skrawek małej piersi, co odruchowo przyciągnęło wzrok mężczyzny. Nie nosiła biustonosza, już to zrozumiał. Oblizwał wargi pozwalając błędzić myślom po zakamarkach jej chudego ciała. Brzydziła go tak samo, jak fascynowała, co tym silniej drażniło jego zmysły i rozpałało ukrytą agresję. Nagle wszystko wokół przestało

istnieć. Na ułamek sekundy dojrzał w jej oczach szydercze spojrzenie Pani M. Ogarnęła go bezkresna furia. On sam stał się furią i narzędziem zemsty pośród wrzasku i aplauzu pijackich mord. Krzyknął - zdychaj! sięgając jednocześnie po strzykawkę i niczym pocisk wystrzelony z lufy rzucił się na kobietę zamarłą z przerażenia.

Oni byli jeszcze szybsi. Pierwszy z oprychów, który wcześniej ustąpił kobiecie miejsca, błyskawicznie pochylił się i natarł na atakującego, wybijając mu z ręki strzykawkę i z całej siły trafiając pięścią w skroń. Koledzy nie czekali na zaproszenie, tylko dołączyli kopiąc w twarz, brzuch, plecy i krocze, a później, niczym wygłodzone hieny sprawnie obszukali kieszenie omdlałej ofiary.

A publika krzyczała jeszcze! jeszcze! jeszcze!

Pan M. zdusił papierosa w popielniczce, czując jego żar na opuszkach kciuka i palca wskazującego. Ból fizyczny miał w sobie zbawienną moc chwilowego oczyszczenia płuc z brudnego uczucia samopogardy, które nieustannie towarzyszyło mu od czterech miesięcy, dwóch tygodni i sześciu dni. Od momentu, gdy leżąc skulonym na zimnym betonie w kałuży swojej krwi i plwocin, poczuł we włosach kościste palce mocno zaciskające się na czubku jego głowy i ból wyrywanych cebulek. Nie miał na sobie peruki, sztucznej brody i maskujących okularów, zaś kobieta, którą chciał zaatakować przyglądała mu się z bliska kucając tuż przy jego twarzy.

- i kto teraz zdycha? Wycedziła, a on poczuł nieświeży oddech z głębi jej trzewi. Obolałe powieki co chwila opadały przywołując błogie otępienie, próbował jednak coś powiedzieć, ale z opuchniętych ust wydobyło się tylko przerywane rzężenie.

- co chcesz wystękać? Że lubisz przebieranki i ryzyko? Kobieta uklękła, dotykając suchymi wargami jego ucha, po czym dodała szeptem - śmierdzisz strachem gówniany bohaterze... - i z impetem uderzyła jego głową o twardą ziemię. Nim zemdłał, wydawało mu się jeszcze, że słyszy policyjne syreny, ale może to był tylko sen.

Obudził się w szpitalu. Przy łóżku, przepisowo na krześle, siedziała Pani M. szlochając jakby o ton za głośno, a może zbyt wyraźnie, nie potrafił tego określić. Nie miała na sobie zielonej sukienki, tylko grafitową, odpowiednią dla żony zrozpaczonej tym, co spotkało jej ukochanego męża. Chciał uśmiechnąć się szyderczo, prychnąć cynicznie na jej komedię, jednak powstrzymało go potworne pieczenie na prawym policzku. Poza tym poczuł dyskomfort i ból rozlewający się po całym ciele. Doznania były zarazem wyraźne i stłumione, a ukryte pod bandażami i opatrunkami pulsowaniem przypominały o minionych wydarzeniach.

- lepiej nic nie mów kochanie, bo blizna źle się zejdzie i to nie będzie dobrze wyglądać... mój ty biedaku... jestem przy tobie - mówiła łagodnie i delikatnie, starając się dotknąć jego dłoni przy ostatnich słowach, jednak gdy poczuła ostre drgnięcie mięśni palców, wycofała rękę kładąc ją posłusznie na swoich kolanach.

Pan M. zamknął oczy słuchając dalszego wywodu żony.

- policja znalazła cię pobitego do nieprzytomności bez pieniędzy i nawet butów na tyłach jakiejś zakazanej speluny. Ci dranie byli bezwzględni, chociaż nie rozumiem, co tam robiłeś. Poszedłeś tam pić alkohol?! Dlaczego?

Słowa docierały do niego przebijając się przez zasłonę z betonowego jedwabiu. Zarazem słyszał dźwięki, ale nie potrafił ich odróżnić. Wszystko zdawało się jedną zwykłą gonitwą wyrazów, sylab i akcentów. Bezkształtna masa bez większego znaczenia.

- muszę odpocząć... wyjechać na miesiąc, dwa... pozbierać myśli...

Pani M. na chwilę zaniemówiła. Niezdarnie wyciągnęła głowę przytwierdzoną do smukłej szyi, zmarszczyła nakrapiane jadem kiełbasianym mięśnie wokół oczu i beznamiętnie powtórzyła za swoim mężem:

- wyjechać? Ale po co? Ale dokąd?

- Mamy mały motel, chyba nazywa się InCube. Powinienem sprawdzić jak działa... no wiesz, czy przynosi zyski i w ogóle czy wszystko jest w porządku...

- To jakieś brednie! Jesteś chory! Musisz...

- To ty musisz już wyjść! - krzyknął Pan M. zatrzymując kawalkadę lamentów żony - wyjdź! Natychmiast! Jego słowa cięży powietrze niewidzialnym ostrzem nienawiści. Tak głęboko i dokładnie, iż po chwili został sam. Nie spiesząc się wziął głęboki oddech i powoli sięgnął po leżący na stoliku obok telefon komórkowy. Sprawdzając najszybszy dojazd do motelu InCube czuł, jak pomimo bólu na jego twarzy pojawia się znany mu z przeszłości uśmiech.